

**Marek
DRYJER**



**PRZYGODY JAKUBA
ZABUŻAŃSKIEGO**

**Marek
DRYJER**

Przygody Jakuba Zabuzkańskiego

**Tom I
*Mój Kłuszyn***

© Copyright by
Marek Dryjer & e-bookowo
Grafika na okładce: Emilia Kulak
Projekt okładki: Emilia Kulak & e-bookowo

ISBN 978-83-7859-441-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

Rozdział I

„Jutowe rzeźby bez głów”

Właśnie zabrzmiał dzwonek kończący przerwę. Uczniowie nerwowo spoglądali w stronę schodów. Kosa nigdy się nie spóźniał, na dodatek na dzisiaj zaplanował klasówkę, szeptali między sobą. Musiały, zatem zaistnieć wyjątkowe okoliczności, że jeszcze dotąd nie pojawił się w budzie. Może zepsuł mu się samochód, albo zaciął zamek?, zastanawiał się Jakub Zabużański. A może stało się coś zupełnie innego i niespodziewanego? Coś, czego nawet wybitny znawca matmy w porę nie potrafił przewidzieć? Wszystko można obliczyć, powtarzał klasie na każdych zajęciach, grożąc palcem. Surowy wzrok nauczyciela powodował, że stojącej na baczność młodzieży ze strachu ugiwały się nogi.

Zebrani pod salą gimnazjaliści mieli nadzieję, że nielubiany przez nich profesor Turkuć nie przybędzie na czas. Mijały kolejne minuty, które zestresowanej młodzieży ciągnęły się w nieskończoność. Już uwierzyli w swoje wielkie szczęście i powoli szykowali się do opuszczenia korytarza, żeby przedostać się na porośnięty trawą główny dziedziniec szkoły, gdzie na piaskowym klepisku zamierzali rozegrać mecz piłki nożnej, gdy wtem w najmniej spodziewanym momen-

cie wypłynął zza winkla, niczym senna mara, zasapany belfer, który grzmiąc, niczym najstraszliwsza burza, z impetem wpadł pomiędzy wystraszonych uczniów. Ja wam dam kawały, zobaczycie!, wołał, otwierając pospiesznie drzwi. Zatykać fartuchem ucznia rurę wydechową samochodu! Myśleliście, że ominie was sprawdzian? Nic z tych rzeczy. Napiszecie go w tej chwili, i będziecie na to mieli mniej czasu. Siadać, szorstko oznajmił. Swoją drogą, już ja się policzę z tym gągatkim, który mnie tak urządził. Przyznać się i to zaraz, któremu strzelił do głowy taki głupi pomysł? Klasa milczała jak zaklęta, tylko kujon Julek niespodziewanie wysunął się przed szereg, żeby na oczach wszystkich wskazać palcem Grubego. To on, panie psorze. To on to zaplanował, wszystko słyszałem. I choć to Piecuch kierował tym niegodnym zadaniem, to z racji tego, że był o głowę wyższy od pozostałych i znacznie przy tym silniejszy, nie został wywołany do odpowiedzi. Julek bał się Piecucha i dlatego wskazał na Grubego, który tak naprawdę bardziej przypominał szkielet pokryty skórą, niż masywnego tłuscioszka. Pseudonim, koledzy nadali mu z przekory. Siedzący w ostatniej ławce Jakub zerkał z niechęcią na gadatliwego prymusa. „Psia kość”, pomyślał i zacisnął pięści pod stołem. Klasa zawrzała. Piecuch chytrze uśmiechnął się pod nosem, a na śmierć wystraszony Gruby natychmiast opuścił wzrok. Pojedyncze łzy spłynęły mu po policzkach. Miażdżące jak prasa spojrzenie profesora wbiło go w siedzenie twardego jak kamień krzesła. Zaczęła się kartkówka. Zadania były bardzo trudne. Klasa w ciszy dumiała nad obliczeniami. Tylko prymus Julek kreślił kolorowym długopisem jakieś liczby i skrobał o papier, którym nieznośnie szeleścił. Wzbudzał tym pogardę u pozostałych uczniów. Zabrzmiał dzwonek i profesor Turkuć rozpoczął zbieranie prac. Niech

tylko któryś go ruszy, rzekł pewnym głosem, wskazując na rozpromienionego kujona. Wtedy będzie miał ze mną do czynienia! Poszturchiwany donosiciel, któremu niesforni koledzy nie żalowali przytyków i kuksańców, ledwo mógł wy dostać się na korytarz, na którym zaraz zniknął, gubiąc się szybko w rozkrzyczanym tłumie wielu klas.

– I co z nim zrobimy? – zapytała Daria, poprawiając rękami długie, jasne loki, które przyjemnie zafalowały po wypuszczeniu z palców.

– Może by tak go sprać na kwaśne jabłko? – zaproponował Piecuch, któremu ciężko było się sprzeciwić, ze względu na jego wagę i słuszny wzrost.

– Nie, to zły pomysł – powiedziała najmniejsza z nich, filigranowa Agata. – Kara musi być znacznie surowsza. Taka, żeby nas popamiętał i nauczył się, że nie wolno donosić.

Na ustach pozostałych uczniów pojawił się szyderczy uśmiech.

– Ja wiem, co mu zrobimy – rzekł Jakub. – Mam pomysł, ale nas nygus popamięta.

Pod salą od historii zapanowała niespotykana wrzawa. Cóż takiego, powiedz, prosimy, dopytywali jeden przez drugiego.

– No dobra, tylko cicho sza – nakazał wskazującym palcem, co to go sobie przyłożył do ust, a potem pokazał im nim jeszcze, żeby się do niego przysunęli i zaznaczył wyraźnie, co by w żadnym razie się nie wygadali. Klasa jego pomysł przyjęła z aprobatą.

Zabrzmiął dzwonek kończący przerwę. Uczniowie ustawili się w rzędzie pod ścianą i oczekiwali nadejścia nauczyciela. Kazimierz Wielki lada moment powinien się pojawić, w oddali słychać było jego specyficzne kroki. Po chwili wycho-

wawca już kręcił kluczem w zamku, a gdy następnie szeroko otworzył drzwi, roześmiana młodzież w mig przetoczyła się przez próg sali niczym jeden zwarty organizm. W tym całym zamieszaniu, kujon nie zauważył, jak włożono mu do plecaka jakiś nieduży przedmiot. Profesor Szwagrzyk rozpoczął lekcję historii. Odczytał obecność, po czym podał klasie temat dzisiejszego zagadnienia, którym był Hołd Pruski. Jakub Zabuziański bardzo lubił ten przedmiot, który, jak żaden inny, przybliżał mu odległe czasy. Chłopiec sporo czytał, ale czerpał również wiedzę historyczną z internetu, po którym serfował za pomocą wielofunkcyjnego smartfona. Kazimierz Wielki, jak profesora nazywali uczniowie, głównie przez to, że przed kilkoma laty powiedział swoim podopiecznym następujące słowa: „Zastałem klasę drewnianą, a zostawię murowaną”, zastanawiał się nad tym, kogo przed omówieniem nowego tematu powinien wywołać do odpowiedzi. Zachodził w głowę, ale na nikogo nie mógł się zdecydować, co rusz tylko spoglądał na pełną klasę. Na jasnych ścianach wisiały obrazy, były to kopie wielkich bitew z udziałem polskiego rycerstwa. Wśród płócien nie brakowało także portretów polskich głów koronowanych i wielkich wodzów. Nad biurkiem pedagoga wisiało godło państwowe. Profesor wodził palcem po nazwiskach uczniów w dzienniku, lecz wciąż nie mógł wybrać, kogo tym razem powinien przepytwać. W tym samym momencie usłyszał przenikliwy głos i jedno krótkie, bolesne słowo: „Auć!”. Zobaczył wtedy jak siedzący przed nim prymus Julek z grymasem bólu na twarzy i w pośpiechu wysypuje zawartość swojego plecaka na ławkę. Pośród zeszytów i książek znajdował się też ostry cyrkiel, którego kujon na pewno nie spakował. Ale to nie cyrkiel wzbudził zainteresowanie wychowawcy i klasy, tylko zapalniczka oraz postrzę-

piony papieros, którego resztki utkwiły w palcach ucznia. Julek próbował strzepnąć z nich drobiny tytoniu, ale te za nic nie chciały odpaść, przykleiwszy się do skóry niczym rzep do psiego ogona.

– A już pomyślałem, że na ochotnika zgłosiłeś się do odpowiedzi, ale to, co widzę, jest sprawą o wiele poważniejszą – powiedział profesor, po czym palcami podkręcił wąsa i poprawił niebieski krawat, który miał na sobie.

– Ja, ja – dukał Julek.

Klasa ryła się na całego. Chichot losu, ktoś jeszcze dwa razy powtórzył.

– Widzę właśnie, że ty, i że bardzo chcesz zabrać głos. Chętnie ci go udzielę.

– Ja, nie – pokręcił głową uczeń.

– Och – westchnął nauczyciel historii. – To ty palisz?

– Ja? – gimnazjalista zapytał tak, jakby to nie o niego chodziło. – Ja, nie. Oczywiście, że nie.

Profesor z dezaprobatą pokręcił głową.

– Ale, co, nie? – dopytywał ucznia.

– Oczywiście, że nie palę – wydusił z siebie wystraszony młodzik.

– To, po co ci to?! I skąd to masz?! Mów prędko!

Julka wyraźnie zatkało, nie zrozumiał przy tym całego zdarzenia. Szok powoli ustępował i pomału powracała świadomość myśli. Przyszyty na jeża, ryżowłosy okularnik, dłużył palcem w uchu.

– To nie moje – wymamrotał.

W klasie zawrzało. Wszyscy chłopcy poza Julkiem uprawiali jakiś sport, także sugerowanie, że któryś z nich mógłby mu to podrzucić, było w tej sytuacji dla nich nie lada afrontem.

– Sportowcy nie palą – głośno oznajmił Gruby, a taką miał przy tym radochę, że o mało nie spadł z krzesła, na którym się mocno kołysał.

Julek z nerwów zaczął obgryzać paznokcie, a po chwili się jeszcze rozpłakał. Niektórym żal się zrobiło nielubianego prymusa, ale coś takiego... Nikt z nich nie chciałby być zapewne teraz na jego miejscu.

– Jak nic, ma za swoje – powiedziała bardzo cichutko Daria. – Dobrze mu tak.

Jakub, siedzący obok, tylko się do dziewczyny uśmiechnął. Ma ładną buzię i jest miła, choć czasami, jak widać..., pomyślał. W szkole często wodził za nią wzrokiem, ale nie był jedynym. Piecuch także wdzieczył się do najładniejszej dziewczyny w klasie i nie w głowie było mu się nią z kimkolwiek dzielić, choć ona przy tym często go ignorowała. Jakub był nieśmiały, bał się także zadzierać z Piecuchem. Niespodziewanie zabrzmiał dzwonek kończący lekcję.

– Zagadaliśmy się – powiedział historyk. – I żeby było mi to ostatni raz, pamiętaj – zwrócił się do prymusa, któremu pogroził palcem. – A wy – spojrzał na klasę – samodzielnie w domach opracujecie Hołd Pruski. I, żeby była jasność, nikomu nie odpuszczę. Referaty chcę widzieć na moim biurku do wtorku, zrozumielście?! To dobrze. Jesteście wolni.

Klasa zawrzała z radości, a Julek odetchnął z wyraźną ulgą, choć grymas niezadowolenia wciąż nie schodził z jego wyścielonej purpurą buzi. Szemrał coś pod nosem, ale po krótkiej chwili zaprzestał i zniknął wraz z innymi uczniami za drzwiami. Profesor poprosił Jakuba o przygotowanie tematu do kolejnej lekcji i, o to, żeby poza szkołą, po drodze do domu wyrzucił zapalniczkę do kosza. Chłopak przytaknął, zabrał źródło ognia, uklonił się wychowawcy i wyszedł. Za

drzwiami odruchowo schował ją do kieszeni.

Do końca gimnazjum pozostało kilka tygodni. Dla uczniów miał to być okres wytężonej pracy i niezwykle ważnych życiowych wyborów. Wybierając kierunek dalszej edukacji i rodzaj szkoły, mieli zdecydować o swoim późniejszym losie. Na co się zdecydować?, głowił się Jakub, kiedy schodził po szerokich schodach gimnazjum. Może technikum, żeby mieć jakiś zawód, a może ogólniak, by potem kontynuować naukę na studiach? Gdyby tylko ojciec tutaj był, na pewno by mi doradził, martwił się chłopiec. Gdyby tylko był, wsparłby mnie w tym trudnym czasie. A może w końcu przyjedzie, powróci z zagranicznych wojaży? Mama wciąż nie chce o tym rozmawiać. Jakub tak bardzo mocno się zamyślił, że nawet nie zauważył tego, że opuścił już mury szkoły. Przed wejściem usłyszał znajome głosy, które szybko sprowadziły go na ziemię. Ujrzał dziwnie znajomy obrazek. Piecuch napraszał się, a Daria oponowała. Tłumaczyła przy tym coś koledze, ale ten najwyraźniej nic sobie z tego nie robił. Sytuacja powoli wymykała się spod kontroli. Widać było, że dziewczyna nie życzyła sobie adoracji ze strony nachalnego, krewkiego kawalera, ale ten miał wobec niej zupełnie inne plany. Oboje zobaczyli wtedy Jakuba. Daria uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił się jej tym samym. Nie uszło to uwadze Piecucha, który zmierzył rywala groźnym wzrokiem. Wilcze oczy osiłka, zniewoliły młodzieńca, który chciał coś zrobić, cokolwiek w tej sytuacji, postawić się silniejszemu, nie ustąpić, ale zwyczajnie nie potrafił. Nogi zrobiły mu się miękkie niczym z waty i ledwo łapał powietrze do płuc. Wyczuwał przy tym, że dziewczyna była mu przychylna, co jeszcze bardziej zirytowało jego natarczywego konkurenta. Już wydawało się, że dojdzie do bójki, że oberwie w nos i poczuje smak

własnej krwi, że zaboli jak diabli, ale ostatecznie tak się nie stało. Jakub nie utrzymał miażdżącego spojrzenia oponenta, odwrócił się na pięcie i bez słowa pomaszerował w przeciwnym kierunku. Bał się odwrócić, bał się także o Darię, i było mu niesamowicie przykro, że stchórzył. Lęk i strach były jednak silniejsze, co prawda słyszał jeszcze przez chwilę za sobą nieprzychylnie słowa Piecucha, który kpił z niego, że nie podjął rzuconej przez osiłka rękawicy, ale pomimo tego nie zawrócił. Sekundy uciekały, a on nie przejmował się tym już prawie wcale. Piecuch tak bardzo zapieklił się w sobie i zaafekrował słowną potyczką, że nie dostrzegł tego, że Daria gdzieś zniknęła. Szukał jej jeszcze przez chwilę wzrokiem, a kiedy jej nie dostrzegł, zaklął pod nosem i dziarskim krokiem pomaszerował w swoją stronę.

Jakub Zabużański szedł chodnikiem ulicy Pawłowa w stronę placu Legionów, skąd Sądową udał się wprost do Rynku. Na placu Solnym na chwilę przystanął i spojrzał na stragany z kwiatami, obszedł owalną fontannę usytuowaną pośrodku i zamoczył palce w wodzie. Zapachy kwiatów przypawiały o mdłości. Nie stał tam już ani chwili dłużej, tylko ruszył w stronę Ratusza, następnie przystanął obok szklanej fontanny, spojrzał na niebo, obszedł Rynek dookoła i wyruszył w stronę Hali Targowej. Stamtąd było już tylko kilka kroków do ulubionego miejsca, jakim był Ostrów Tumski. Często tam przychodził, zawsze wtedy, gdy miał problemy i musiał pomyśleć. Nie inaczej było i tym razem. Idąc Mostem Tumskim przypatrywał się setkom wiszących na nim kłódek zakochanych ludzi. Wpatrywał się w nie, marzył i rozmyślał. Potem podziwiał z bliska katedrę i jej dwie wysokie wieże. Oddychał pełną piersią. Pamiętał jeszcze przez chwilę o popołudniowym treningu jeździeckim na Partynicach i,

o przyszłotygodniowych zajęciach łuczniczych w Centrum Łucznictwa Tradycyjnego, oraz – co sobie dopiero teraz przypomniał – o jutrzejszych zawodach strzeleckich na Stadionie Olimpijskim, ale ogólne znużenie i oślepiające słońce, które odbijało się od tafli rzeki, ostatecznie wybiły go z głębokiej zadumy. Przyjemne sprawunki uleciały z głowy i przysły niczym bańka mydlana. Jakub zasłonił ręką oczy i odwrócił głowę. Zabrał rękę z powiek i ruszył. Poszedł nadbrzeżem Odry w stronę Mostu Pokoju, popatrzył na nowoczesny gmach Biblioteki Uniwersyteckiej usytuowany po drugiej stronie przeprawy. W oddali stał szeroki budynek Urzędu Wojewódzkiego. Chłopak nie poszedł jednak w tamtą stronę, skręcił na most i poszedł w prawo, a gdy dotarł do końca przęsła, na chwilę się zatrzymał. Spojrzał raz jeszcze w stronę Ostrowa Tumskiego. Wrocław z tej perspektywy wydawał się niezwykle atrakcyjny, podobne pejzaże widział na obrazach na wystawie na Jatkach w jednej z miejscowych galerii. Uff, odetchnął radośnie i wypuścił powietrze z płuc. Spojrzał w lewo, poraziło go słońce. Kilkanaście, a może kilkadziesiąt metrów dalej – ciężko mu było dokładnie ocenić – było Muzeum Narodowe. Jego zabytkowe, czerwone mury porastały pędy zielonych pnączy. Chłopak obszedł budynek, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy, skąd przez porośnięty bujnymi krzewami park, udał się wprost pod główne wejście do Panoramy Racławickiej. Nie przekroczył jednak jej progów, tylko stał tam przez jakiś czas, zając się ze smakiem pyszną kanapką z serem. Przez cały czas wspominał wielkość obrazu, a kiedy skończył jeść, zgniótł w ręce papier śniadaniowy w kulkę i wcisnął do kieszeni. Następnie wyjął z plecaka butelkę z wodą i się napił. Przez chwilę jeszcze się wahał, czy aby nie wejść do środka, ale ostatecznie zmienił zdanie i szybko

zawrócił. Powrócił do Muzeum Narodowego przy placu Powstańców Warszawy. Niebo zaszło chmurami i zrobiło się tak jakoś szaro. Rozhulał się wiatr. Zaraz lunie, pomyślał i wszedł po schodach do środka. Zamknął za sobą ciężkie drzwi.

Przez chwilę nie mógł się zdecydować, w którą pójść stronę i od czego rozpocząć zwiedzanie. Zdjął szary polar i obwiązał się nim w pasie. Zdjął także z głowy niebieską czapkę z daszkiem i schował do plecaka. Sprawdził zawartość kieszeni džinsów, gdzie poza zmiętym papierem namacał felerną zapalniczkę, scyzoryk wielofunkcyjny, którym często ćwiczył rzucanie do drewnianej tarczy, oraz portmonetkę i smartfona. W tylnej kieszeni nosił pomiętą legitymację szkolną ze zdjęciem. Na chwilę usiadł na schodach i poprawił sznurówki w sportowych butach. Podrapał się też po głowie. Co ja takiego miałem zrobić?, zastanawiał się. Nie ważne zresztą, machnął ręką i powstał. Za dużo myśli naraz, bąknął jeszcze pod nosem. Wciąż miał w głowie wydarzenia sprzed szkoły. Wciąż widział smukłą buzię dziewczyny, jej ładne oczy, słyszał ciepły głos. I ta masywna góra cielska jej oprawcy. A niech to wszystko żaba połknie, powiedział przechodząc obok nagrobków książąt polskich. Po chwili zagadkowe wnętrza muzeum pochłonęły go bez reszty. Podziwiał sztukę śląską, obiekty gotyckiej sztuki sakralnej. Na dłużej zatrzymał się obok obrazów Bellotto i Bacciarellego. Celebrował rzeźbę i malarstwo. Wodził wzrokiem po płótnach i lustrował z każdej strony rzeźbiarskie arcydzieła. Poszukał „Ślubów Jana Kazimierza” pędzla Jana Matejki, przy których stał przez dłuższą chwilę. Jacek Malczewski i jego „Ojczyzna”, zafascynowały go. Ujrzał zamysłoną twarz kobiety, i dzieci obok niej, piękną przyrodę i pochmurne niebo, a w dali zabudowy miasta. Utracił poczucie czasu. Potknął się i o mało

nie przewrócił, na szczęście niczego nie potłukł. Mijały kolejne minuty i godziny. Kolejny olej na płótnie, pomyślał po tym, jak już przeczytał opis dzieła. „Chłopiec niosący snop”, Aleksandra Gierymskiego powalił go niemal na kolana. Musiał przyklęknąć, żeby poprawić rozwiązane sznurowadło, bo o mało przez to nie upadł. Patrzył na pokryty bogactwem kolorów pejzaż, na jaskrawą żółć rozświetlającą buzię dziecka, na snop słomy na jego głowie, która dziwacznie sterczała. Wyglądało to tak, jakby ktoś założył dziecku na głowę miniaturowy szałas indiański. Jakub lekko się wtedy uśmiechnął. Jeszcze raz zerknął na płótno, po czym dziarskim krokiem pomaszerował dalej. Po drodze nie spotkał nikogo. Miał wrażenie, że był tam zupełnie sam. Trochę się nawet tego wystraszył, gdyż miejsce to było wyjątkowe, a przebywając wśród tak wielu wiekowych zabytków, miało się nieodparte wrażenie, że jest tam ktoś jeszcze. Wydawało mu się, że nie był tam sam, i nie chodziło mu w tym przypadku o innych ludzi, którzy tak jak i on mogli w tym czasie zwiedzać to miejsce. Duchy husarii, skrzydlatych kopijników, pomyślał. Przeszły go wtedy ciarki i obleciał strach. Zagubił się i nie mógł odnaleźć drogi powrotnej, a bał się nawoływać. Myślał, że kręci się przy tym w kółko. Miał wrażenie, że postaci z obrazów krzywo na niego spoglądają, że średniowieczne zbroje same się poruszają i strasznie przy tym skrzypią. Rozbolał go od tego brzuch. Przedostał się do sali z pracami Magdaleny Abakanowicz, a to, co tam zobaczył, przerosło jego najśmielsze wyobrażenia o sztuce, do tego stopnia, że z miejsca odjęło mu mowę. Stał, jakby wryło go w ziemię. Przed nim na baczność stał tłum wyrzeźbionych z tkaniny jutowej, pokrytej żywicą postaci człekopodobnych bez głów. Chłopak długo przyglądał się ich nogom i rękom, tułowiom oraz szyjom, wykona-

nym z szarego płótna workowego. Tworzyli oni karny szereg, była to pełna niepokoju wizja ludzkiej egzystencji. Jakub dotknął pierwszego z brzegu eksponatu, poczuł wtedy ciarki na ciele. Przed oczami, niczym błysk fleszu aparatu, pojawiły się i zaraz zniknęły zatrważające obrazy. Gimnazjalista bez zastanowienia wszedł pomiędzy bezgłowe ciała, odwrócił się na pięcie i przyjął podobną do nich postawę. Miał wrażenie, że stał się jednym z nich. Zamknął oczy, poczuł lekkie ukłucie, zakręciło mu się w głowie. Usłyszał szum wiatru, czyjeś okrzyki, rżące konie. Wiatr wciąż się nasilał i dmuchało już niczego sobie, pojedyncze krople deszczu uderzały o coś metalowego niczym o parapet. Chwilę potem, lunęło na całego. Wraz z ulewą pojawiły się pierwsze obrazy, pochylone sylwetki ludzi siedzących na rozpędzonych koniach. Wielkie skrzydła z piór, przypięte do pleców, albo do tylnego łęku siodła. Ciężko mu było dokładnie dojrzeć i rozróżnić. Wyciągnięte przed siebie długie lance, albo kopie, które szarżujący jeźdźcy dzierżyli w dłoniach. Pojawiły się też zapachy letniego deszczu i krwi. Jasny księżyc rozświetlał wydeptaną drogę pośród nocnych drzew. Siąpiło jeszcze, ale mgła już pomału ustępowała i było widać coraz więcej. Setki końskich nóg, przemierzających leśne połacie, zagrzebujących się w piachu i odrzucających go na boki, a w tyle maszerująca piechota. Wozy wypełnione po brzegi, ich klekoczące w ruchu koła. Niewidoczne sowy, pohukujące w ciemnych zaroślach. Parujące oddechy ludzi. I zniewalający zapach mchu.

Spis treści

Rozdział I	
„Jutowe rzeźby bez głów”	4
Rozdział II	
„Nocny marsz Żółkiewskiego”	16
Rozdział III	
„Walka o płot i formowanie szyku”	25
Rozdział IV	
„Popróbujmy rozbić Moskali”	32
Rozdział V	
„Potyczka na lewym skrzydle”	39
Rozdział VI	
„Rozbicie sprzymierzonych”	45
Rozdział VII	
„Wielka szarża Firleja”	58
Rozdział VIII	
„Targi i rokowania. Kłuszyńska wiktoria”	70
Rozdział IX	
„Tuż po bitwie. Lizanie ran”	80
Rozdział X	
„Rozmowa z hetmanem Żółkiewskim”	94
Rozdział XI	
„Powrót pod Carowo Zajmiszcze”	108
Rozdział XII	
„Zdobycie Moskwy”	119
Rozdział XIII	
„Mój ukochany Wrocław”	128
Rozdział XIV	
„Niedzielna intifada”	151
Rozdział XV	
„Lekcja historii”	160
BIBLIOGRAFIA	174